



Michał Majerski

„Altheide”
(nowela filmowa)

Michał Majerski

„Altheide”

(nowela filmowa)

Prolog

Od kilku dni wieś jest już całkiem pusta, tylko w pałacu nocami świeci się światło. Właściciel majątku uparł się żeby nie uciekać – mówi wszystkim naokoło, że nikomu nic nie zrobił, dlatego Rosjanie ich oszczędzą i pozwolą zostać. Cała rodzina i służba nie opuszczają już domu, czekają ze strachem na wejście Rosjan. Napięcie sięga zenitu bo już są blisko, na horyzoncie widać łuny palących się wsi, a odgłosy strzałów słyszeć coraz bardziej. Przez okna pałacu widać drogę na której ciągną kolumny uciekinierów, tysiące kobiet, starców i dzieci. Tak wygląda koniec każdej wojny. Dzieci w salonie są zmęczone czekaniem, marudzą i chcą iść spać. Najstarszy z nich, 14-letni chłopiec mówi „dobranoc” i wychodzi. Jego pokój jest na poddaszu, w wieży pałacu od strony parku, więc nie może zobaczyć, że ogień dochodzi już do pierwszych budynków we wsi.

W środku nocy budzi go mocne szarpnięcie za ramię. Jakaś ręka zrzuca z łóżka pierzynę. W ciemności rozpoznaje teraz jakąś upiorną postać, która siedzi tuż obok. Bije od niej intensywny smród potu, spalenizny i wódki. Chłopiec sztywnieje ze strachu, budzi się już na dobre, ale jeszcze nie wie czy to nie jest sen. Na brzegu łóżka siedzi rosyjski żołnierz i intensywnie mu się przygląda. Nagle bierze go mocnym chwytem za głowę, otwiera siłą usta i z menażki wlewa do gardła wódkę. Chłopiec krztusi się i zwija w obronę, a wtedy żołnierz wyciąga pistolet i krzycząc coś po rosyjsku mocno uderza na odlew. Chłopiec pije, a potem traci przytomność, po chwili nieprzytomny i pijany leży na podłodze. Budzi się dopiero następnego dnia, musi być już popołudnie. Panuje

zupełna cisza, nikogo nie ma. Kiedy jeszcze na wpół przytomny schodzi na dół po schodach, widzi że dom jest całkowicie splądrowany, a meble przewracane. Drzwi wejściowe na ganek są otwarte na oścież, a przed schodami leżą ciała rodziców i wszystkich domowników. Oprócz niego nikt nie przeżył.

Walter

Walter wyemigrował do Hamburga zaraz po studiach i habilitacji we Wrocławiu. Dla takiego jak on, osieroconego, niemieckiego znajdy, jest to niezwykła kariera, bo jego świadomość szczelnie wypełniają obrazy powojennej zawieruchy. Do dzisiaj ciągną go w dół, w jakąś ciemność i nie zgadzają się na lekkość życia. Są zapisane w jego osobistej czarnej skrzynce, ukrytej gdzieś w jego wnętrzu – cała jego pamięć, której nie można tak, ot sobie skasować. Zawsze sięga po nią, kiedy czuje się słaby i w nocy odwiedzają go znajome demony. Ona wtedy w jakiś dziwny sposób daje mu siłę.

Walter stoi jeszcze chwilę na balkonie dużej secesyjnej hamburskiej kamienicy, mruży oczy i patrzy na gładką powierzchnię wody w Alster, w której odbija się ciepłe wrześnie słońce. Jest szczęśliwy, że żyje. Teraz już wie, że to dzięki temu rosyjskiemu żołnierzowi, który zrozumiał i tą wódką uratował mu życie.

Igor

To ma być jego pierwsza wystawa obrazów i obiecuję mu, że chętnie przyjadę na otwarcie. Igor przestał już malować, ale teraz na starość zaczął coś pisać, chyba jakieś opowiadania albo biografię, nie wiem. A kiedy pytam, mówi tylko tyle, że to taki kaprys – dla przyjemności. Nie zależy mi, żeby publikować, Walter, – podkreśla – wystarczy, że siedzę w fotelu z laptopem, przypominam sobie różne rzeczy, a potem je zapisuję, jak kronikarz – mówi.

Na otwarciu wystawy Igor chciałby przeczytać kilka fragmentów ze swoich zapisków o Polanicy, zaraz po wojnie. Właściwie nie rozumie i dziwi się, że go tu jeszcze ktoś zauważył i robią mu wernisaż w Domu Kultury. Chociaż w Polanicy mieszka już prawie całe swoje życie - jeszcze od kiedy nazywała się Altheide, jest tu niewidoczny, obcy, nikt go nie zauważa. Igor jest autochtonem, Niemcem i dlatego nie należy tu do swoich. Był sierotą i aż do końca wojny mieszkał w sierocińcu, w klasztorze zaraz obok kościoła u sióstr zakonnych, u siostry przełożonej Edeltraut. Pamięta niewiele, a jego pamięć obudziła się dopiero wtedy, kiedy któregoś letniego dnia wyszedł z klasztoru trochę dalej niż zwykle i zauważył, że ludzie mówią jakimś nieznanym mu językiem i nikt go nie rozumie. Rozumiał tylko te swoje siostry zakonne w czarnych, długich habitach, które się nim opiekowały. Ale one nagle zniknęły i jego świat się zupełnie zawalił, bo nie rozumiał już nic i nikogo. Był przerażony, kiedy pojawili się wokół niego jacyś obcy ludzie, których mowy nie rozumiał. Zawieźli go do Szczytnej, do domu dziecka. Jego łóżko stało teraz w zbiorowej sali pełnej chłopców w jego wieku. Wszyscy byli tu dla niego dobrzy, niektórzy byli ze Śląska i rozumiał co do niego mówili, ale czuł, że wokół niego działo się coś niedobrego. O tym, że była jakaś wojna, która się właśnie skończyła, nikt mu nie powiedział. Wie tylko tyle, że jego rodzice nie żyją i w Altheide jest teraz całkiem sam, wśród obcych. Ta obcość staje się teraz częścią jego życia i uczy go, jak dać sobie radę w każdej sytuacji, doskonali jego bystrość i przenikliwość, wzmaga czujność, bo Igor chce żyć.

Z czasem kiedy stał się dorosłym mężczyzną nawet pociąga go takie ukrywanie się pomiędzy ludźmi, którzy są wprawdzie jego sąsiadami, ale odległymi jak inna galaktyka. Widzi u nich udawaną obojętność i strach przed wszystkim, co obce i niemieckie. Natomiast on doskonale wie, że jest u siebie w domu i czuje się tu dobrze.

– To się do dzisiaj nie zmieniło – mówi Igor – wiesz przecież, jak nas traktują, zostało nas już tu tylko kilku ostatnich, autochtonów jak na nas mówią, ale dalej nas tu nie tolerują. Kuracjuszy z Niemiec to tak, bo to jest biznes, ale nas? Nie istniejemy, bo jesteśmy dla nich jak wyrzut sumienia.

Altheide

Wrzesień w Hamburgu jest tego roku wyjątkowo ciepły. W sobotnie i niedzielne popołudnie, ludzie całymi rodzinami spacerują promenadą, wokół Alsteru. Rytualem jest pokazywanie się w tym miejscu. Walter zamyka okno, sięga do szuflady starej komody i szuka kluczy do swojego domu w Polanicy. Dawno ich nie używał, ale przecież gdzieś powinny tu leżeć, między zdjęciami, które robiła Marta i pamiątkami po cioci Władce. W szufladzie przechowuje też stare, banalne widokówki, które kupuje przy każdej okazji: dolnośląskie krajobrazy, zapomniane miejsca, nieciekawe budynki w jakichś już nieistniejących wioskach i ruiny dolnośląskich pałaców - te lubi najbardziej, bo przypominają mu jego dzieciństwo. Pozornie nic niemówiące zdjęcia, porozbijane fragmenty Kotliny Kłodzkiej układają się u niego w jakąś całość, pamięć, której nie pozwala zginąć.

Z biegiem czasu, od kiedy stamtąd wyjechał, niektóre obrazy już się w niej zatarły. Tak jak obraz jego rodziców, bo nie zostało po nich żadne zdjęcie ani inny ślad. Nie wie nawet, gdzie jest ich grób, ale dokładnie wie, że jego domem i ojczyzną jest ta Kotlina – Glatzer Kessel. Od kiedy pamięta, zawsze go chroniła, tak jak Władkę, która też znalazła tam swój nowy dom.

Władka nie była moją ciocią, tylko dobrą, prostą kobietą, która mnie adoptowała i przygarnęła, jak bezdomnego psa na dworcu w Glatz. Mama, tato i wszyscy których znałem zginęli na progu naszego domu. Kiedy zobaczyłem tę górę ciał leżących jeden na drugim pamiętam dokładnie. Zamknąłem się w domu i nie wiedziałem co robić. Nie wiem czy płakałem. Chyba nie, bo byłem jak

sparaliżowany. Musiałem coś zrobić, ale nie wiedziałem co, nie wiedziałem jak się mieszka w domu samemu, bez rodziców. W szafach wisiały ich ubrania, a dookoła leżały ich rzeczy. Bo przecież jeszcze kilka dni temu wszyscy tu byli, żyli. Nie wiem ile mogło upłynąć czasu zanim zaczął się ktoś dobijać do drzwi. Byli to jacyś obcy ludzie...

Chłopiec pakuje teraz w jakąś torbę kilka swoich rzeczy i idzie przed siebie, na dworzec. Nie wie dlaczego właśnie tam, ale też nie wie co dalej, gdzie jechać i do kogo. Na peronie się nie wyróżnia, bo są to czasy, kiedy wszyscy są w drodze, jeżdżą w tę i z powrotem i nikt o nic nie pyta. Ludzie szukają nowych gniazd i swoich bliskich. Na dworcu patrzy na pociągi, do niektórych wsiada, a kiedy się gdzieś zatrzymują to wysiada i tak powoli traci rachubę czasu.

– Na tym peronie musiałeś siedzieć chyba kilka dni, taki byleś zmarnowany – wspomina później Władka, – ale nie Ty jeden, tam było jeszcze pełno innych dzieci, które te Niemki pozostawiały. Nie chciały ich brać, nie miały pokarmu, nikt nie wiedział dokąd pociąg pojedzie i czy przeżyją. No i podrzucały je Polakom, co się tu osiedlali, bo liczyły na to, że tu wrócą...a ci oddawali je dalej, do Domów Dziecka. To była dla nich jedyna szansa, bo tam je karmili. Ale dlaczego Władka wybrała właśnie mnie? I zabrała ze sobą, do Altheide? Dlaczego właśnie mnie, zwykle niemieckie dziecko?

Pochodziła ze wschodu, z małej wsi, która się nazywała Cimuszowa. Do Altheide przywieźli ją już na samym początku wojny, do pracy przymusowej, „na landówę”, dowiedziała się o tym dopiero w pociągu. Miała dużo szczęścia. Na stacji ustawiali ich przed wagonami i wtedy miejscowi zjeżdżali się z całej okolicy, żeby wybrać sobie kogoś do pracy. Nie było komu pracować, bo wszyscy niemieccy mężczyźni byli na wojnie. Zabrał ją wtedy jakiś lekarz, do sprzątnięcia i do dzieci. Władka często opowiadała, że doktor Schlegel był bardzo przystojny i ją szanował. Walter doszedł później do absurdalnego wniosku, że

się chyba w nim trochę podkochiwała. Ale potem wszystko się zmieniło, weszli Rosjanie z Polakami i lekarz musiał uciekać z rodziną. Może nie musiał, ale chciał. Władka została sama w ich dużym pięknym domu i czekała na ich powrót. Ciągłe opowiadała mi też o swojej wsi i chyba tęskniła, ale wrócić już nie mogła. Nie chciała, żebym mówił do niej mamó... – no, bo co będzie, kiedy się znajdzie jakaś twoja rodzina? – mówiła.

Altheide przycupnęło bezpiecznie z boku kotliny Glatzer Kessel. Wokoło chronią go pasma gór i Wielki Śnieżnik - Schneeberg. Mówią na niego Święta Góra, bo tuż pod szczytem ma swoje sanktuarium Maria Śnieżna. Jej białe wieże widać z daleka i ludzie od wieków wiedzieli, że ona nad nimi czuwa. Za to ją kochali.

Do Altheide wojna nie dotarła, ale dotarł jej rachunek, który miasto musi za nią zapłacić. Przez całe lato 1945 roku Altheide i cała Kotlina Kłodzka, Glatzer Tal, wypełnia się pierwszymi poszukiwaczami szczęścia i przygód z całej Polski. Pojawiają się ci, którzy nie lubią pytań, skąd i po co tu przyszli. Góry stały się kryjówką nie tylko dla przestępców, lecz także dla upartych Niemców, którzy nie chcą wyjeżdżać na obczyznę, gdzie przecież nikogo nie znają. Po nich przyjeżdżają już inni, biedota wypędzona przez Rosjan na wschodzie. Ale biednym zawsze wiatr w oczy i dla nich niewiele już zostało. Domy po Niemcach były już splądrowane albo zajęte.

Pół wieku później Walter wyciąga z szafy swoją walizę podróżną. Po prawie dziesięciu godzinach jazdy pociągiem jest zmęczony tą podróżą, a czeka go jeszcze przesiadka w Glatz. Nie może jakoś zaakceptować tej polskiej nazwy – Kłodzko, chociaż wie, że tak to miasto nazywali kiedyś Czesi. Wysiada, ma dużo czasu, bo pociąg do Polanicy odjeżdża dopiero za dwie godziny.

Dworzec się nie zmienił, od wojny minęło już tyle lat, ale wszystko wygląda jeszcze jak wtedy. Wahadłowe drzwi z miedzianymi uchwytemi skrzypią tak

samo, tylko okienko do sprzedaży biletów jest nieczynne i zasłonięte brudną firanką. Obok stoi automat na bilety.

Idzie teraz wolno w stronę starego rynku i wchodzi do pachnącej jeszcze farbą kawiarni „Colombina”. Pamięta ją dobrze, bo był tu kiedyś z Martą na wagarach. Teraz ściany pomalowano na krzykliwy żółty kolor. Nowy właściciel pewnie pomyślał, że już czas, żeby ten ciężki poniemiecki klimat zastąpić czymś bardziej wesołym dla oka, więc teraz tu stoją nowe stoliki i krzesła z Ikei.

Od lat, kiedy tu przyjeżdża, w mieście za każdym razem coś się zmienia. Są ciągle niespodzianki, nowe pomysły na biznes. Sklepiki i restauracje znikają albo zmieniają adresy. A Walterowi się to nie podoba. On nie lubi zmian. Wydawać by się mogło, że biznes tu kwitnie, ale kończy się zawsze na malowaniu ścian.

Farby, najróżniejszych kolorów, nawarstwione przez całe dziesięciolecia, do dzisiaj nie potrafią przykryć tej poniemieckości. Po wojnie miała być to strefa oczyszczona od Niemców i to się udało, ale sama niemieckość ciągle wystaje jak spod krótkiej kołdry. Ludzi, do których ta ziemia należała, już tu nie ma. Zniknęli po wojnie, jak kiedyś w cesarstwie rzymskim po wybuchu Wezuwiusza. Ale coś się po nich zachowało – wystarczy tylko uważnie popatrzeć, założyć na oczy filtr, który kasuje przemalowania i uzupełnia braki w oryginale. Wtedy wystarczy rozejrzeć się dookoła, żeby zobaczyć ślady, po nich, jak po Etruskach. Tutaj jednak archeolodzy nie będą musieli wiele odkopywać, bo wszystko jest na wierzchu, wszystko jest widoczne, kiedy uważnie popatrzeć.

W kawiarni w Kłodzku przy oknie siedzi starsza para w odświętnych zielonych strojach z haftem, a Walter wyobraża sobie, że mógłby to być przecież doktor Schlegel z żoną, ale to na pewno nie jest on. Przecież musiałby mieć już ponad sto lat. Kelnerki od razu rozpoznają w nich niemieckich turystów. Ci najpierw

zaprzeczają gorliwie, ale za chwilę przyznają, no tak, może turyści, ale my jesteśmy stąd. Pewnie przyjechali tu już ostatni raz, pożegnać się ze swoim domem i siedzą teraz w milczeniu. Za kilka godzin wsiądą do pociągu i odjadą, na zachód. Mam wrażenie, że tutaj, na tych ziemiach, do dzisiaj pociągi kursują tylko w kierunku zachodnim, a jeżeli jakiś już jedzie w odwrotnym kierunku, to jest pusty.

Na peronie w Polanicy czeka już na niego Igor. Rozpadający się budynek dworca i brak ławek sugeruje, że pociągi przestały tu już jeździć od dawna. Ale nie, pociąg jeździ, bo ludzie codziennie jeżdżą do pracy w Czechach. W Kotlinie Kłodzkiej pracy nie ma już od dawna.

Dziś był to już ostatni pociąg i poza Walterem nikt nie wysiada. Witają się i jak zawsze idą do "Zdrojowej" na kolację. Droga prowadzi najpierw przez łąkę, a potem wzdłuż wezbranej deszczami górskiej rzeki. Jej rwący nurt zagłusza rozmowę, więc milczą, ale jeszcze tylko chwila i będzie mały mostek. Już są przy deptaku.

Z biegiem lat ich spotkania stają się jakby rytuałem. Łączy ich dużo, ale może dlatego odzywają się do siebie niewiele. Nie muszą już sobie mówić o wszystkim. Tylko o tych najważniejszych rzeczach, co się od ostatniego roku zmieniło, kogo ostatnio widział z ich dawnej klasy albo kto zmarł. Walter jak zwykle najpierw pyta o Martę, a Igor ma ciągle tę samą odpowiedź. Marta przepadła i nie daje znaku życia. Chodzili wtedy do jednej klasy i byli nierozłączni, a na grobie Hansa Ramshorna przysięgali sobie wierność i przyjaźń na całe życie – Igor, Walter i Marta.

Najpierw wyjechała Marta, chyba do Niemiec, a potem – już dużo później – Walter, do Wrocławia na studia. Igor nie szukał nowego domu i został w Polanicy. Nie znalazł tu nowych przyjaciół, nie ożenił się i stał się odludkiem. Zaczął wcześniej malować, a w lecie, kiedy jest ładna pogoda, ustawia swoje

sztalugi na deptaku. Kuracjusze przystają na chwilę i z nudów próbują nawiązać z nim rozmowę. Czasem ktoś pyta, dlaczego jego obrazy są takie dziwne. Nie wie, jak na to odpowiedzieć, zażenowany mówi: „tak to jest”.

Jeden z jego obrazów powiesiłem u siebie w moim hamburskim mieszkaniu. Wcześniej nigdy nie przychodziło mi nawet na myśl, że Igor będzie artystą. Teraz zaczął coś pisać, mówił że pisze o Niemcach i historii tej ziemi. Ale tutaj nikogo to nie interesuje. Widzi tylko wzruszanie ramion i wie, że za tą obojętnością ciągle jeszcze ukrywa się jakaś niechęć, a może nawet strach. Dlatego urzędniczka z referatu kultury woli organizować coś bardziej przewidywalnego niż wieczór autorski nieznanego pisarza i artysty. Altheide się skończyło, a Polanica nie chce mieć z nim wiele wspólnego. To stare czasy, o których lepiej nie pamiętać bo sieją tylko niepokój. Walter o tym wie i w tajemnicy przed Igorem prosi urzędniczkę o zorganizowanie mu wystawy i spotkania, obiecując pokrycie wszystkich kosztów. Kobieta godzi się, ale pod warunkiem, żeby nie robić mu żadnej reklamy. No, ewentualnie można dać informację na niemieckich stronach internetowych Urzędu Miasta. Tam w Niemczech są jeszcze ludzie, którzy to czytają i się interesują, ale tutaj kuracjusze muszą mieć spokój, więc na wszelki wypadek w tym samym czasie zorganizuje jeszcze wieczór ulubionych arii operetkowych, a wtedy nie powinno być problemów.

Potem jednak stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. Spotkaniem z Igorem zainteresował się jakiś początkujący dziennikarz z lokalnej gazety i opisał je prowokacyjnie, jako spotkanie z ostatnim jeszcze żyjącym tu Niemcem w polskim rezerwacie. I zrobiła się burza, kiedy on dalej w tej gazecie naiwnie pytał, skąd do tych autochtonów tyle niechęci i agresji. Dlaczego w mieście nie ma żadnego śladu po dawnych mieszkańcach Altheide, żadnego muzeum, a w szkole dzieci nie uczy się historii miasta. Kto miałby to zresztą robić?

A Igor wszystko pamięta, zna każdy szczegół. Jest tu jedynym, który zna prawdziwą historię tego zranionego miejsca, tej Kotliny. I od tego artykułu w redakcji urywają się telefony zatroskanych obywateli, że to pewnie początek jakiejś nowej germanizacji i w efekcie urzędniczka chętnie odwołałaby spotkanie. Jest już jednak za późno. Wszystkie bilety na spotkanie zostały wysprzedane.

Pierwszego czerwca 1945 Altheide nazywa się już Puszczykowo, a za chwilę jeszcze raz zmieni nazwę na Polanica-Zdrój i tak już zostanie do dzisiaj.

Jest wrześniowy poranek i w parku zdrojowym pierwsze promienie słońca przebijają się przez gęste rododendrony. W małych uliczkach, które przecinają park, stoją opuszczone domy i pensjonaty, nietknięte bo wojna nie zdążyła tu przyjść i ich zniszczyć. Nie widać nigdzie ludzi, jest cisza. Tylko tam niżej w dole, gdzie kończy się dawna Brunnengasse, słychać niepokojący szum górskiej rzeki. Przez mostek przechodzi tam właśnie kilkoro dzieci w mundurkach z białymi kołnierzykami, idą w kierunku szkoły. Chwilę później stoją już przed budynkiem i czekają na nauczyciela. Jak gdyby nic pierwszego września zaczyna się nowy rok szkolny, a to jest przecież oczywiste.

Szkoła jest mała, ale dla takiego Altheide zawsze wystarczała. Małe miasteczko, które jeszcze niedawno liczyło sobie tylko niecałe cztery tysiące stałych mieszkańców. Dzisiaj, kilka miesięcy później, pozostała z nich już tylko mała garstka. Na ulicy odróżniają się wyraźnie i można nawet na nich pokazać palcem: popatrz! Tam, widzisz ich? To są ci Niemcy, którzy jeszcze nie wyjechali.

W końcu udało się ich upchnąć w piętnastu pociągach towarowych. Wywozili ich stopniowo przez kilka miesięcy i to nie tylko za karę, że byli Niemcami, ale właściwie dlatego, że potrzebne było miejsce dla swoich: Polaków, wygnanych ze swoich domów na wschodzie. Niektórzy Niemcy muszą zostać, nowi

właściciele nie chcą wypuścić fachowców, muszą pracować i meldować się regularnie na posterunku milicji.

Pociągi z wygnańcami ze wschodu, od strony Ukrainy jeszcze nie tu docierają, bo jest za daleko. Ludzie z całym dobytkiem wysiadają z nich dużo wcześniej, najpóźniej w Breslau, więc w Altheide wypełnianie tej pustki po wysiedlonych będzie trwało jeszcze długo.

Wiele lat później w tym samym miejscu i tej samej porze Walter przystaje ponownie przed swoją szkołą. Nic się nie zmieniło. Tak samo jak wtedy, przed szkołą stoją dzieci i czekają na nauczyciela. Tym razem są to już sami Polacy. Może po tylu latach powinno być tych dzieciaków już więcej? Myśli.

Droga za szkołą prowadzi na miejskie wysypisko śmieci, a dalej jest już tylko cmentarz ewangelicki. Od wojny nikogo tu nie chowano, ewangelików było tu zawsze mało, a Polacy nie chcieli leżeć razem z Niemcami. Dziwne, że nikt nie pytał, dlaczego Władka, Polka bez żadnych wątpliwości, chciała być właśnie tam pochowana. Była to kwatera rodzinna doktora Schlegela, Niemca, jej pracodawcy.

Ten grobowiec jako jedyny na cmentarzu pozostał nietknięty, hieny cmentarne oszczędziły go tylko dlatego, bo broni go nowa polska tablica, ze zdjęciem i nazwiskiem mojej przybranej matki: Władysława Foryta.

Walter widzi jak pod cmentarz wolno podjeżdża luksusowy autokar, ma rejestrację ze Stuttgartu. Wsiada z niego kilka staruszków. W milczeniu wchodzą na zarośnięty teren, który był kiedyś cmentarzem. Był? Jak to? Przecież jest dalej, nikt go nie likwidował. Staruszkowie z autokaru chodzą w milczeniu w tę i z powrotem pomiędzy krzakami i przewróconymi nagrobkami, jak zahipnotyzowani, ale nie widać u nich złości.

Kiedy jeszcze w gimnazjum z Igorem dorabialiśmy sobie oprowadzaniem wycieczek niemieckich po Polanicy, to tamci też tak chodzili. My chodziliśmy za nimi. Oni nie potrzebowali żadnych przewodników, a najgorsze było, że nas w ogóle o nic nie pytali, a przecież mogli, bo w końcu nam płacili. Kiedy tak za nimi chodziliśmy po mieście to cały czas milczeli, a niektórzy po cichu płakali.

Kiedys poszedłem za nimi do kościoła i usłyszałem jak się głośno modlili i śpiewali psalmy: przyjdź Duchu Święty, spójrz na nasz Heimat, na naszą Dolinę i bądź dla niej łaskawy. O Maryjo z Wysokiej Śnieżnej, modlimy się dziś do Ciebie, za wszystkich którzy tu mieszkają i powierzyli się Twojej opiece.

Walter zapala świeczkę na grobie Władki, zamyka oczy i zaczyna się modlić, za Martę, za mamę i tatę, za Altheide i za Glatz. A na końcu za tego rosyjskiego żołnierza. Potem wraca okrężną drogą przez miasteczko i zatrzymuje się jak zawsze na moście, niedaleko ogrodzonego źródła z wodą mineralną. Lubi patrzeć na rwący nurt tej górskiej rzeki. Ma ona w sobie coś magicznego, jakąś siłę, a Igor kiedyś opowiadał, że siostry zakonne zabraniały się do niej zbliżać.

W rzece żyje Neck, potwór. Jest straszny, ma postać bobra i potrafi się nadymać do ogromnych rozmiarów. Siostry mówiły też, że Neck jest bardzo bogaty, bo jeżeli mu się zapłaci, to pilnuje, żeby spełniały się przekleństwa, które ludzie na siebie rzucają. Można je natomiast łatwo unieszkodliwić, trzeba tylko znać zaklęcie. „*Neck, Neck, Strudelgeist. Du bist im Wasser, ich bin am Land*”.

Wtedy pokornie zostawia nas w spokoju.

Już w lecie 1945 roku zaczynają pojawiać się w Polanicy pierwsi pojedynczy Polacy. Otwierają po kolei drzwi opuszczonych domów i mieszkań, wchodzą do środka, ale się nie wprowadzają, nie chcą tu mieszkać. Tylko wynoszą z nich zdobycze, szukają po szafach i biorą tyle, ile mogą sami udźwignąć. Później do miasteczka przyjeżdżają dwie zdezelowane wojskowe ciężarówki, które

wywożą gdzieś meble i resztę. Dopiero kiedy domy są już puste, do Polanicy dociera pierwszy pociąg ze wschodu.

Od strony stacji kolejowej pojawiają się teraz grupki ludzi. Wszyscy szukają mieszkania albo jakiegoś domu, z drzwi odkręcają już nieaktualne szyldy z dziwnymi nazwiskami, ale skrzynki z napisem „Briefe” zostawiają, bo poczta jest dziś najważniejsza i działa cały czas bez jednego dnia przerwy. Dla nich teraz wszystko dookoła ma już tylko jedną, magiczną nazwę – poniemieckie. Cała kotlina, Glatzer Kessel staje się poniemieckie.

Przed domami na wypielęgnowanych podwórkach pojawiają się pierwsze dzieci. Przez tę wojnę odwykły od zabaw, a teraz widzą nagle raj, znajdują tu niezliczone ilości zabawek po ich niemieckich rówieśnikach. Zostały, bo nikt ich ze sobą nie zabierał, w walizkach rodziców nie było już miejsca, szabrownicy też ich nie chcieli, więc teraz zabawki są wszędzie, walają się, bezużyteczne.

Pierwszy września to początek roku szkolnego i zapowiada się upalny dzień. Do szkoły Walter ma blisko, tylko przejść przez park i potem już tylko ścieżką obok domu zdrojowego. Po drodze zauważa, że do sąsiednich domów wprowadziły się już pierwsze rodziny, czasem poruszy się firanka, ktoś zamknie drzwi. Przed szkołą stoi już kilkoro dzieci i kierownik szkoły „pan Majerski”. Czekają już na niego i prowadzi do nowej klasy, "gimnazjalnej" – będziecie razem, w jednej klasie, bo Niemcy mają być razem – mówi do niego łamanym niemieckim – na pewno znajdziesz jakichś kolegów.

Walter się cieszy i rozgląda wokoło. Większość ławek stoi jeszcze pusta, jeszcze nikt nie siada. Młodzi ludzie się wzajemnie obserwują. Które z nich jest Niemcem? Już wie, że nikt się nie przyzna ze strachu. W ostatnim rzędzie widzi Martę, nazywa się Zeiger i zna ją z widzenia, bo mieszka na sąsiedniej ulicy. Jest jeszcze Igor. Ma polskie nazwisko i do tego Burek, więc w klasie myślą, że

jest Polakiem i dają mu spokój. A więc będzie nas tylko troje? Ci z pierwszych ławek odwracają się i syczą: „hitlerowcy”, „szwaby”. Obok nas nikt nie chce siedzieć, więc będziemy się trzymali razem i razem uczyli po polsku.

Rozumiemy już co nieco, ale jeszcze dobrze nie mówimy.

– Du wohnst doch da hinter dem Park? – pyta Marta - mieszkasz tam, gdzie był ten lekarz? Doktor Schlegel? oder?

Lekarza i jego rodziny już nie ma, a w jego domu mieszka teraz on, sam z Władką.

Marta Zeiger mieszka na sąsiedniej ulicy i z całej klasy chodzi najładniej ubrana. W domu ma pełną szafę pełną różnych kreacji. Jej ojciec jest mechanikiem i pracuje w Zdroju. Wie jak się obsługuje pompy głębinowe i oprócz niego nikt tego nie potrafi, a sanatoria są pełne chorych, więc takich Niemców jak on nigdy stąd nie wypuszczą bo woda jest potrzebna.

Do naszej paczki należy jeszcze Igor, jest chyba najzdolniejszy ze wszystkich, nic nie jest dla niego trudne. Lekcje w szkole jeszcze się na dobre nie rozpoczęły, a on jest już najlepszy. Mieszka w klasztorze za kościołem, ale kiedy wyrzucili zakonnice, to przenieśli go do ośrodka dla sierot wojennych na zamku w Szczytnej. Zamek stoi na wzgórzu i wystarczy przejść przez park żeby go zobaczyć. Jeszcze niedawno był tam ośrodek szkoleniowy Hitlerjugend „Rueckers”, ale potem zrobiono z niego dom dziecka, bo nie trzeba było tam nic zmieniać.

– Śpimy nawet w tych samych łóżkach – opowiada Igor.

Kiedyś Marta pytała go, dlaczego ma takie rosyjskie imię, skoro jest Niemcem.

–Właśnie przez to główniane imię nie wzięli mnie do transportu razem z zakonnkami, do Niemiec – mówi.

Właściwie nazywa się Raphael, ale gdy przyszli Rosjanie, od razu zmienili mu imię, a później przyszła kolej na nazwisko, ale to mógł sobie przynajmniej

wybrać. W papierach od zakonnic nazywał się Baumann ale Polakom się nie podobało. Mieli taką listę i miał z niej wybrać sobie coś na B i wybrał Burek, bo jest krótkie. Więc od kilku miesięcy nazywa się Igor Burek i ma teraz papiery polskie.

Marta, Walter i Igor spotykają się po lekcjach i szybko stają się nierozłączni, chodzą po mieście i czasem odprowadzają Igora na zamek, do jego sierocińca. Któregoś dnia w drodze powrotnej zachodzą na cmentarz. Świeci pustkami od kiedy Niemcy wyjechali. Nikt tu teraz nie chodzi i nie odwiedza grobów. Marta bierze Waltera za rękę i prowadzi go między grobami. Zatrzymuje się przy ich grobowcu rodzinnym.

–To jest grób mojego brata, ale on tu nie leży. Był starszy ode mnie o rok. Wolfganga wzięli na front wschodni – mówi – Tak jak pojechał, to już po kilku dniach przyszła wiadomość, że zginął. Potem przysłali nam jego rzeczy, w takiej małej paczce –pokazuje– I je tu zakopaliśmy, w grobie babci.

Marta zaczyna płakać i obejmuje Waltera, przytula się do niego, a on bierze w ręce jej włosy, ten zapach mu coś przypomina. Całuje ją, a Marta wczepia się w niego mocno i delikatnie muska wargami. Walter czuje jej bliskość i oddech. Opiera się o drzewo, kręci mu się w głowie kiedy Marta się tak w niego wtula. Czy tak jest zawsze kiedy się jest zakochanym? –myśli.

- Chodź już, pokażę Ci moje ulubione miejsce, szepcze Marta całując go bez przerwy.

Dalej, przy głównej alei już z daleka widać duży marmurowy grobowiec, który wygląda jak mała kaplica. Na ścianie jest piękna tablica i nazwisko: *Hans Ramshorn – den Heldentodt gestorben. Deine dankbare Heimat.*

Grobowiec ma ciężkie metalowe drzwi, ale te są zaspawane i bez zamka. Mają piękne zdobienia i roślinny relief, a gdy się dłużej w niego wpatrzeć, widać w nim wkomponowane małe ukryte swastyki.

–Co one tu jeszcze robią?– pyta Walter.

– Ruskie musieli to przeoczyć – odpowiada Marta – kto by tam patrzył tak dokładnie?

Na jego pogrzebie było całe miasteczko, wiem, bo ojciec robił wtedy zdjęcia. To był jeden z tych Bonzów od Führera – mówi – No, ale dzięki Bogu udało mu się szybko zginąć za ojczyznę, „*Gefallen für die Heimat, unser Glatzer Heimat*” czyta dalej. Co za bezsens – myśli później.

Hans Ramshorn jest honorowym obywatelem Altheide, jego synem i pewnie dalej patronem szkoły, bo tej tablicy z budynku nikt jeszcze nie zdążył zdjąć. Wisi zdecydowanie za wysoko, bo od kiedy szabrownicy wyjechali, to nikt nie może znaleźć żadnej drabiny. Ramshorn, od kiedy usłyszał o Adolfie, jak poufale nazywał swojego „Wodza wszystkich czasów”, od razu stał się jego płomiennym wyznawcą i poza Gestapo nie widział życia. Organizował w Altheide tajną policję i szybko awansował. Nie było mu jednak dane zebranie owoców tego zaangażowania, bo został po kryjomu zastrzelony przez nieznanego sprawcę, podobno miał jakiegoś kochanka, no i partia zrewanżowała mu się teraz pięknym grobowcem. Z tyłu grobowca pod ścianą pokrytą bluszczem, ukryta jest ławeczka pod daszkiem, nie widać jej z głównej alei. To jest miejsce Marty, przychodzi tu czytać książki albo, kiedy chce być sama. Ale dzisiaj to jest coś wyjątkowego, obok niej siedzi Walter i całuje jej szyję. Jest w niej zakochany, ale nie daje tego po sobie znać. Podoba mu się w niej, że na przerwach w szkole Marta nie da się zakrzyczeć. Na początku krzyczeli za nią „hitlerówka”, a na nas „szwaby”, ale od tego jest teraz Igor, szybko sobie z tym radzi, rzuca się na tych Polaków jak oszalały z pięściami.

Pociągi ze wschodu zaczęły już teraz częściej docierać do Altheide i nasza klasa powoli się zapełniała. Ci nowi są jacyś dziwni, prawie nikt nie mówi dobrze po polsku, tylko po ukraińsku albo rosyjsku, albo jeszcze w jakichś innych niezrozumiałych językach. Dużo z nich było od nas o wiele starszych, ale nie potrafili czytać. Zbieranina z najbardziej dziwnych miejsc, gdzieś tam na

wschodzie, o których nikt z nas nigdy nie słyszał. Było jednak coś co nas łączyło – prawie nikt z nas nie miał ojca.

W szkole nikt nie pytał, skąd się przyjechało i w ogóle o nic. Był jakby niepisany zakaz mówienia o domu. Dzieci po lekcjach się nie odwiedzały i każdy żył dla siebie. Tylko my byliśmy wyjątkiem.

– To wy jesteście te Niemcy? – pytali nas na początku i zaraz się odwracali. Później, kiedy na dworzec przyszedł jeszcze transport Greków i potem nawet Cyganów, zrobił się problem. Zabrakło ławek, klasa zrobiła się jak wieża Babel, języki się nam ciągle mieszały i już mało kto mówił po polsku, o pisaniu nie wspomnę. Siedzieliśmy tak w tych ławkach, ciasno, jeden obok drugiego, oni – zbieranina z najróżniejszych dziur na wschodzie – i my stąd – Niemcy.

Przez środek Polanicy płynie Bystrzyca, rwąca, górską rzeką i jest to jak granica, broni dostępu do dzielnicy zdrojowej tam, gdzie jest park, hotele i domy zdrojowe. Mieszkali tam tylko ludzie zamożni, a teraz? Sprawiedliwość musi być. Te duże, bogate wille zapełniają się powoli biednymi wygnańcami ze wschodu. Kobiety i dzieci całymi dniami siedzą przed domami na schodach i werandach jakby na coś czekały. Nie widziałem, żeby ktoś się tam urządzał albo zawiesił nowe firanki, tylko gdzieś w ogrodach i garażach widać przywiezione bydło. Myślę, że tym biednym ludziom było wszystko jedno czy mieszkają teraz w jakimś pałacu czy wiejskiej chacie. Czuli się tu bezdomni.

Na trawniku przed domem Waltera i Władki siedzi grupka ludzi i czeka, kiedy ktoś im otworzy. Są z dzisiejszego transportu i jechali tu aż z Kazachstanu prawie miesiąc. Obok leży stos bagaży, a do płotu przywiązane są dwie bardzo wychudzone kozy. To repatrianci, mają skierowanie z Urzędu do ich domu, przydział na mieszkanie. Władka wraca z pracy, otwiera im drzwi i wpuszcza do środka. Prowadzi na parter i otwiera gabinet lekarski doktora Schlegela. Od kiedy jej lekarz wyjechał, gabinet stoi zamknięty na klucz. Wysiedleńcy

wchodzą i zamykają za sobą drzwi. Do wieczora słysząc stamtąd hałasy i przesuwanie mebli, pewnie się urządzą, bo na korytarz wystawiają książki i sprzęty lekarskie. Ale po kilku dniach nastąpi cisza. Lokatorzy nagle gdzieś zniknęli, ale wieczorem ktoś niespodziewanie puka do drzwi. Władka waha się, ale otwiera. Przed drzwiami stoi młody mężczyzna w długim wojskowym płaszczu, zdejmując czapkę i się przedstawia. Tłumaczy, że zamienił się właśnie mieszkaniem i to on będzie teraz naszym sąsiadem, będzie mieszkał na parterze, z żoną. Wprawdzie jest niemową i prawie nie wychodzi, ale będzie komu uważać na dom, tłumaczy. Tym poprzednim tu się kompletnie nie podobało, tłumaczy dalej już niepytany – narzekali na lokalizację, że przy parku i w ogóle, a przede wszystkim, że w ogródku nie było chlewika.

Władka z każdym dniem rozumiała, że do Cimuszowej już nie wróci, że jej miejsce jest teraz tutaj. Ale jest zadowolona, nie musi nosić już tej czerwonej legitymacji z napisem na okładce „*Behelfsmäßiger Personalausweis/dowód tymczasowy*”. Altheide jej się podoba, wszystko jest takie czyste, w parku tyle nieznanymi roślin, może tam teraz siadać na każdej ławeczce, chodzić gdzie tylko chce i nawet wejść do tej słynnej kawiarni Doernerów.

- Ale to nie dla mnie, mówi.

Dostała nową pracę w Zdroju, przyuczyła się i jest teraz kąpielową - przygotowuje kąpiele błotne. Praca jest lekka, nabiera torfu z beczek i wkłada go do miedzianych wanien z gorącą wodą. Musi go tylko dobrze wymieszać. Z czasem zaczęła urządzać nasze mieszkanie na piętrze, po swojemu. Na korytarzu piętrzą się teraz stosy książek, kartony i sprzęt lekarski wyniesiony od nas i z gabinetu na dole. W końcu to wszystko zaczęliśmy przenosić do suterenu i między tymi kuframi i kartonami zacząłem urządzać własny kąt.

Tym sposobem ja, Walter, jakiś znajda, przybrane niemieckie dziecko znalazło tu swoje miejsce - stare biurko, szafa i rzeczy pozostawione przez lekarza należą teraz do niego. Zamyka drzwi na klucz i zaczyna przeglądać zdobycze.

Wszystko po kolei, każdą rzecz bierze do ręki i dokładnie ogląda. Znajduje karton z kolorowymi przezroczkami i podłącza rzutnik „Leitz Wetzlar – Wundertechnik”, jest zrobiony z błyszczącej miedzi i lśni jak nowy. Na kawałku białej ściany na chwilę wraca czas, ożywa dom sprzed kilku lat. Przed domem pojawia się ten lekarz, jego rodzina, uśmiechnięte twarze, żona i dwie córki na schodach. A on w mundurze Wehrmachtu, ale to przecież nic nie znaczy, wtedy każdy mężczyzna miał mundur. Jest przecież rok 1943, a teraz zdjęcia w ogrodzie zimowym i przy stole! Dziewczynki ubrane w Dirndl i jeszcze raz ich twarze, które patrzą w obiektyw. Lato w Altheide, spacerzy niedzielne, na kuracjuszy czekają dorożki, pięknie sfotografowane na filmach Agfacolor-Umkehr. A teraz zima! Śnieg, sanki. Poznaje – przecież ta droga to Hollenweg, tu, zaraz za parkiem! Do „Piekielka”. Setki kolorowych przezroczy! Zupełna idylla, szczęśliwa rodzina. Walter nagle zaczyna tęsknić za ojcem i mamą... i czuje, że płacze, ale przecież jest jeszcze dzieckiem, więc może płakać. Nikt go tu nie widzi. Marta musi teraz spędzać czas po lekcjach sama, bo Walter całymi dniami siedzi w swojej suterenie i przegląda rzeczy lekarza, znajduje jego listy i mnóstwo drobiazgów. Dlaczego tego nie zabrali ze sobą? Zastanawia się, gdzie oni teraz są, gdzie mieszkają i czy tu wrócą? Dopiero w sobotę rano ktoś dzwoni do drzwi. W progu stoi Igor i przyprowadza ze sobą, Sidiego. Od kilku dni siedzę z nim w jednej ławce, a on jest ciekawy moich skarbów. Wchodzą do środka, a Walter pokazuje im, co znalazł. Zafascynowani nie wiedzą, gdzie patrzeć, otoczeni stosami książek, obrazów, różnych aparatów medycznych, zbiorami owadów i motyli, jest jeszcze kilka różnych szkieletów jakiś zwierząt. Sidi stoi w szoku z otwartymi ustami, a jego pewność i arogancja nagle gdzieś się ulotniła. Sidi pojawił się w szkole kilka dni temu. W czasie lekcji religii nagle słyszymy pod szkołą głośny warkot motoru, wylegamy do okien i od razu jest gotowa sensacja. Pod szkołę podjeżdża motocykl, a nikt z nas tu jeszcze motocykla nie widział. Schodzi z niego wysoki, szczupły chłopak w okularach i skórzanej pilotce, a po chwili wchodzi z kierownikiem szkoły, do naszej klasy.

Nauczycielka pokazuje mu wolne miejsce w mojej ławce i teraz wszystkie oczy zwracają się na nas. Teraz widać jak jest niesamowicie wysoki i chyba musi być od nas dużo starszy.

– Sidi – przedstawia się na przerwie, łaskawie ściskając nam po kolei dłonie. Od razu mówi, że jest Żydem i przyjechał tu z Rosji, z Kazachstanu.

– Bo ojca przenieśli tu służbowo – tłumaczy – ale pewnie w takiej dziurze długo tu nie wytrzymamy.

Sidi musi być zawsze najważniejszy, imponować, a przy każdej okazji opowiada fantastyczne historie i co widział w Rosji. Pewnie zmyśla, ale naszym dziewczynom się to podoba, słuchają go z zafascynowaniem. Tylko Marta nie okazuje mu uwielbienia. „*Klugscheisser*”, „Zasrany dupek” mówi na niego, a on się na nią wścieka, bo nie wie, co to znaczy. Kiedy jest z nami, nie może oderwać od niej wzroku. Kiedy idziemy na cmentarz do naszego Ramshorna, często chodzi z nami. Siedzimy rozwaleni na ławce przy jego grobie i rozmawiamy a on z tego nic nie rozumie, ale siedzi i patrzy na Martę. Przy każdej okazji chwali się, że jego ojciec jest ważnym komunistą, przez całą wojnę jeździli po Rosji, opowiada o swoich przygodach i podróżach po Syberii i Kazachstanie, o polowaniach w tajdze i podróży małym statkiem w górę Leny.

- Ta rzeka to jest cud – mówi. Lepsza od Syberii jest tylko Palestyna i już pewnie niedługo tam wyjedziemy. Na stałe. – podkreśla. – Jak zasłużycie, to będę wam przysyłał widokówki – obiecuje.

–A właściwie co robi ten twój ojciec? – pyta Igor.

–Dostał skierowanie służbowe i ma tu zrobić porządek z Niemcami. W tych górach ich się jeszcze dużo ukrywa. Teraz on tu rządzi i jak będzie chciał, to was też może pozamykać - do kicia. Ja Niemców nie cierpię – mówi przez zęby – bo ciągle pokazują, że są lepsi. Ale teraz ich tam pozamykali na Syberii w obozach i pracują, jak się należy.

– Widziałeś ich? –pyta Marta.

– Na własne oczy. Siedzą za drutami i tak ma być – patrzy przy tym na Igora i na mnie.

–A nie widziałeś tam przypadkiem Wolfganga? – pyta Marta.

–Jaki Wolfgang? Kto to jest? Pyta czujnie.

–Mój brat. Odwraca się nagle i odchodzi, nie czekając, co odpowie.

Po lekcjach dzieci wracają grupkami do domu, nie spieszą się, mają czas. W domu nie ma wiele zajęć. Walter, Igor i Marta włączają się najczęściej koło sanatorium numer jeden i obserwują podjeżdżające dorożki konne. Pacjenci leżą na tarasie przykryci grubymi kocami i się opalają. Kawałek dalej jest źródło wody mineralnej i można przy nim zawsze spotkać jakichś kolegów z klasy. Wszyscy wygłupiają się i polewają wodą, a Sidi jak zwykle na czele. Od razu został przedstawicielem samorządu uczniowskiego i zaczął się rządzić. Ale wszyscy go słuchali, bo miał wszędzie wejścia i zabierał nas ze sobą. Wiedział, gdzie można się jeszcze zakraść i znaleźć jakiś skarb. Znaleźć! To jest źle powiedziane, ukraść! Wszystkie dzieci po lekcjach chodziły po różnych zakamarkach i szukały skarbów.

– Co teraz robicie szwaby? – pyta któregoś dnia – bo my idziemy właśnie do Cyganów, idziecie z nami?

Cyganie brali mieszkania tylko na parterze i w suterrenach. W lecie mieli zawsze wszystko pootwierane na oścież i wtedy mogliśmy zaglądać do środka. To było nawet ciekawe, bo czasem udało nam się zobaczyć jak się modlili i klęczeli na dywanach. Ich pokoje były całe wyłożone dywanami, na podłogach i ścianach wszędzie tylko dywany i obrazy z tych ponemieckich mieszkań. Podchodzimy teraz ostrożnie pod jeden z tych dużych pensjonatów. Mieszkali tam w podwórzu, w przerobionym na mieszkanie garażu.

– Cygan, Cygan! – Wydzieramy się na całe gardło, rzucamy do środka kamieniami, a potem szybko uciekamy.

– Co za kretyni – podsumowuje Marta– dwie cyganki chodzą przecież do naszej klasy i one są w porządku. Jutro ich rodzice przyjdą do szkoły i będzie problem. Będą się teraz na nas mścić. Nie znasz ich?

–Przewiozę je motorem po parku i będzie załatwione – odpowiada.

Sidi codziennie przyjeżdża do szkoły na swoim motorze, bo dziewczyny chcą żeby je po lekcjach woził. Stoją przed szkołą w kolejce, a on z każdą robi rundę po parku. Stoimy z nimi i oglądamy ten motor z bliska. Jest piękny.

– Wiecie w ogóle, co to jest? Co to za maszyna? To jest prawdziwy Ural K-750, ojciec dostał specjalne zezwolenie, żeby go tu przywieźć „na mienie”. Nie ma lepszego. Marta wyczekała chwilę, patrzy mu prosto w twarz i cedzi przez zęby:

– Mój tata miał lepszy, BMW, schował go przed ruskimi, ale nic to nie pomogło, bo go znalazły i zabrały. Teraz tam pewnie gdzieś jeździ po tych twoich gównianych kołchozach.

Sidi patrzy na nią:

– BMW brali tylko do Moskwy, do centrali. A twój ojciec to skąd go miał?

Marta zaprasza nas niespodziewanie na niedzielę w gości. Jej dom to duża willa w uliczce na wzgórzu w parku, za fontanną Apolla. Furtka do ogrodu jest wyrwana, więc od razu znajdujemy się w korytarzu i pukamy do jakichś drzwi. Otwiera starsza kobieta w chuście. Walter pyta o Martę. Kobieta rozumie słabo po polsku, więc włącza się Sidi i pyta po rosyjsku. Marta musiała już usłyszeć nasze głosy, bo wychodzi na korytarz.

– To nowa sąsiadka – tłumaczy – chodźcie, rodzice są jeszcze w pracy – prowadzi do piwnicy przerobionej na prowizoryczne mieszkanie. Marta urządziła sobie tu kąpiel. Walter pyta, dlaczego mieszkają w piwnicy i Marta jest trochę zażenowana.

– Nasze mieszkanie jest u góry, ale musieliśmy je oddać. Ty miałeś więcej szczęścia, bo twoja Władka to jest Polka i mieszkanie jej przysługuje, a nam nie. Was już nie mogą wyrzucić od tego lekarza.

– Chyba żeby wrócili. Wszyscy mówią, że Niemcy wrócą – mówi Igor

– Władka też mówi, że ten jej lekarz może jeszcze wrócić – potwierdza Walter.

–Doktor Schlegel? Nigdy – mówi zdecydowanie Marta.

–Dlaczego? Znałaś go? – pyta Walter.

– Wszyscy go znali, ojciec mówił, że jakby nie uciekł, to by go tu od razu zabili. Marta stawia na stole ciasto – mama upiekła dla was Blechkuchen –mówi– jest też Kakauschale.

– A co to jest? – pyta Sidi. Bierze filiżankę i próbuje – znam to, w Kazachstanie było takie same, ale jak chcesz, to jutro przyniosę ci prawdziwą kawę, nagroda dla twojej mamy – mówi protekcjonalnie, bo awansuje i mają ją przenieść do dyrekcji.

- Skąd to wiesz ? pyta Marta, ale Sidi odwraca się i nie odpowiada.

Walter dalej pyta o doktora Schlegela – przekopuję teraz jego skarby które u nas zostawił i mam tylko nadzieję że mnie nie zabije jak wróci.

– Doktora Schlegela pamiętam i te jego córeczki, dwie zarozumiałe kozy – mówi dalej Marta – Mój tata go nie lubił, bo chodził zawsze w mundurze, chociaż nie musiał. Podobno przed nim w waszym domu mieszkał jakiś inny lekarz. Wszyscy o tym wiedzieli, ale teraz ? Nikogo to nie obchodzi.

Kiedy Igor i Sidi poszli do domu, zostaliśmy sami. Marta nie wiedziała jak się zachować, była jakby skrępowana.

–Nie mówiłam ci, ale mam dzisiaj urodziny i stąd to zaproszenie – przytula się do niego i całuje.

– Kochasz mnie? Bo ja tak. Ale dziewczyny nie powinny tego mówić pierwsze, prawda?

Kiedy go objęła, poczuł, że uginają się pod nim kolana. Ciągnie go lekko za rękę do drugiego pokoju.

–Chodź tu, ale nie gniewaj się. Chciałabym, żebyś mi zrobił prezent – otwiera szafę po brzegi wypełnioną starannie poskładanymi ubraniami.

– To są rzeczy Wolfganga i nie chcemy ich wyrzucać. Szkoda by było, bo takich rzeczy nikt tu nie ma. A tobie będą pasować, macie tę samą sylwetkę – przekonuje.

–Chciałabym cię ładnie ubrać i poszlibyśmy na spacer. To będzie prezent urodzinowy od ciebie. Dla mnie.

Walter siada w fotelu i obserwuje, jak Marta wyciąga z szafy ubrania brata, ogląda je i starannie układa na łóżku. Potem podchodzi do niego, siada na oparciu fotela i zaczyna rozpinąć mu koszulę.

–Nie bój się, nic ci nie zrobię – obejmuje go i siada na jego kolana. Całują się, a po chwili leżą na łóżku. Walter zgarnia jeszcze porozkładane tam ubrania na podłogę.

Marta chciała się ze mną pokazać. Miałem teraz na sobie piękny biały sportowy garnitur i lekki płaszcz jesienny z wielbłądziej wełny, podobny do tego, który kiedyś nosiłem. Wśród tych zawsze biednie ubranych Polaków, w naszych strojach musieliśmy wyglądać jak z innej planety, niesamowicie elegancko. Kiedy szliśmy do Doernerów na lody, to każdy się za nami oglądał, a Marta była wtedy szczęśliwa.

Zbliża się wieczór i w „Parkowej” zaczyna się niedzielny dancing. Przed nią gromadzą się ludzie żeby obserwować tańczące pary. Jest to duża atrakcja, bo cała jedna ściana i sufit są szklane i widać dokładnie całą salę.

–Pięknie tu jest, mówi i patrzy na Waltera. Ale on nie umie tańczyć i Marta chyba tylko dlatego nie nalega, żeby wejść do środka.

Długo stoimy na zewnątrz, zaglądamy do środka i słuchamy jak orkiestra gra polskie szlagiery. Piękne Altheide pozostało nietknięte przez wojnę, a teraz powoli przekształca się w Polanicę, umarł niemiecki świat i rodzi się nowy, polski.

Jesień zaczęła się już na dobre i szybko robi się ciemno. Wieczory cała trójka spędza teraz w suterenie u Waltera. Często przychodzi też Sidi. Razem

przekopują kartony, szafę i biurko. Znajdują jakieś tajemnicze aparaty i odkrywają tajemnice doktora Schlegela. Wkładają do mikroskopu małe, zakurzone szybki z zaschniętymi preparatami i widzą, że na tych martwych szkiełkach jednak coś się rusza. To mogą być tylko bakterie! Sidi jest podekscytowany, nacina sobie palec, rozmazuje na szybcie kropelkę krwi i patrzy zafascynowany przez okular: –Popatrz tutaj, to jest krew! Moja własna! – wykrzyczał.

Igor znajduje jakiś aparat z korbką i dwoma miedzianymi drutami. Daje mu je do potrzymania.

–Potrzymaj je chwilę – mówi i zaczyna szybko kręcić korbką. Sidi czuje, jak przez jego ciało przechodzi prąd i przyjemnie łaskocze. Ale ubaw! Teraz już wszyscy bierzemy te druciki, łapiemy się za ręce, a Marta kręci korbką jak szalona. Prąd przechodzi po naszych rękach, od jednego do drugiego i łaskocze. Śmiejemy się jak szaleni. Kiedy Władka ma popołudniową zmianę, wtedy chłopcy sięgają po ciężkie książki lekarskie. Marta oczywiście nie może się o niczym dowiedzieć. Chłopcy jeszcze nigdy nie widzieli ciała kobiety, no tak dokładnie. Z wypiekami na twarzy oglądają ilustracje, kolorowe zdjęcia fragmentów ludzkich ciał. Widać na nich wrzody, jakieś czerwone plamy i pryszcze. Ale Sidi nie byłby sobą, nie może znieść, kiedy choć przez chwilę się o nim zapomina. Nagle wyciąga z kieszeni mały rewolwer. Kładzie go na stole i z udawaną obojętnością czeka na naszą reakcję. Czuję nagle jakiś dziwny strach, jakby za chwilę miał ktoś umrzeć. Jak wtedy z tymi Rosjanami. Przedemną leży teraz otwarta księga i kolorowe zdjęcia jakiś obfitych kobiecych piersi, a obok, w półmroku, kątem oka obserwuję ten pistolet i rękę Sidiego.

Igor widzi co się dzieje i jest jak zawsze przytomny. Wstaje, spokojnie podchodzi do włącznika i włącza światło. Żarówka znajduje się dokładnie nad głową Sidiego, a kiedy światło rozbłyśka strach nagle znika. Sidi nadal nie spuszcza z nas wzroku, jakby na coś czekał, ale my dalej nie reagujemy, wtedy poddaje się i niechętnie chowa rewolwer z powrotem do kieszeni.

– To nie mój, tylko ojca – wyjaśnia, – ale jak chcecie, to jutro pokażę wam coś lepszego niż te szwabskie obrazki. Ale to ma być tajemnica, musicie obiecać, że nikomu w klasie nie powiecie. Umawiają się następnego ranka koło dworca. Jest niedziela i wczesnie rano. W górach widać poranne mgły, zaczyna się listopad i poranki robią się chłodne. Na ścianie dworca widać jeszcze niestarannie zamazany farbą napis: Altheide Bad/Krs.Glatz. Dworzec jest pusty, żadnego człowieka, ale na bocznym torze stoi pociąg, już bez parowozu. Kilka dni temu przywiózł sześćdziesiąt cztery rodziny z Ukrainy. Wagony są wprawdzie towarowe, ale z każdego wystaje dymiąca rura od piecyka. Każdy wagon musi mieć piecyk, bo grzeje i można na nim coś ugotować. W niektórych wagonach drzwi są odsunięte i w środku widać jakichś ludzi. To są pewnie ci, którzy teraz chodzą po całej okolicy i szukają dla siebie jakiegoś wolnego gospodarstwa. Coraz trudniej jest coś znaleźć, więc na razie pomieszkują w pociągu. Sidi prowadzi nas ostrożnie od drugiej strony, na koniec pociągu, cicho okrążają ostatni wagon. Wspinają się do budki hamulcowego, Sidi wchodzi po drabince aż pod daszek, otwiera mały wywietrznik, daje znak ręką, żeby weszli.

– Ten wagon jest ostatni w składzie, a w tych pociągach ostatni wagon nazywa się zawsze „specjalny” – mówi szeptem – we wszystkich pociągach, które idą tu ze wschodu. Taki pociąg jedzie tu więcej jak miesiąc, też takim jechaliśmy, to wiem. I dlatego w składzie musi być wagon miłości! Kiedy ludzie tak długo jadą, to chcą się kochać, a gdzie mają to robić? Tu popatrzcie, przez to okienko. Igor i Walter próbują coś rozpoznać. Wzrok powoli przyzwyczajają się do ciemności i teraz widzą. Jest! Drewniana prycza i słoma przykryta kocem. Ktoś na niej leży, słysząc stękanie, a potem ciche krzyki kobiety. Chłopców nie da się oderwać od okienka i Sidi powoli się niecierpliwi.

– Wystarczy, koniec na dzisiaj. Pociąg będzie tu stał jeszcze parę dni. Idziemy, bo ludzie będą za chwilę wychodzić do kościoła i mogą nas nakryć.

Po chwili rzeczywiście słyszą bicie dzwonów. Z wagonów ktoś wystawia krzesła i jak po stopniach wychodzą po nich kobiety, odświętnie ubrane,

w długich spódnicach w czerwone paski i czerwono-białych czepkach na głowie.

Walter pyta Igora:

– Hast du schon mal solch komische Klamotten gesehen?

– Znowu gadacie po szwabsku? – strofuje Sidi.

Ludzie z wagonów idą w stronę miasta, w kierunku, z którego słychać dzwony.

W szkole jest teraz nowa nauczycielka rosyjskiego i codziennie mają z nią lekcje. Chyba nie jest całkiem normalna, bo gada od rzeczy, bez przerwy opowiada nam, jak to pięknie jest w Związku Radzieckim. Przychodzi na lekcjęz mandoliną i śpiewa tęskne rosyjskie piosenki. Potem musimy się ich uczyć na pamięć i cała klasa powtarza głośno teksty zwrotek. Igor nienawidzi rosyjskiego, a Sidi rzuca nagle z uśmiechem:

– To zaśpiewajcie jej na złość coś po niemiecku. Zobaczymy, co zrobi.

– *Häschen in der Grube?* – od razu podchwytuje Marta i zaczyna cicho śpiewać.

– „*Häschen in der Grube, saß und schlief. Armes Häschen bist du krank, dass du nicht mehr hüpfen kannst?*“ – śpiewa wesoło.

Sidi przerywa – Może być, jak to usłyszysz, to się wścieknie – zastanawia się chwilę – Wścieknie się i polecą do kierownika, a ten ją opieprzy, że nie panuje nad klasą. I wtedy dostaniemy jakąś inną, bardziej normalną. Jak zaśpiewacie, to macie u mnie nagrodę!

– Jaką?

– Mam na oku taki jeden grób – mówi tajemniczo – i tam są na pewno skarby.

Zorganizowałem już trochę dynamitu to go rozwalimy i jak je już wyciągniemy, to bierzecie połowę.

– Z grobu?

– Teraz to normalne, wszyscy kopią i są bogaci.

Następnego dnia pomiędzy jedną i drugą zwrotką „*Podmoskiewskich wieczorów*” zaczynamy nagle śpiewać „*Häschen in der Grube*”, wydzieramy

się na cały głos. Klasa zamiera i nikt nie wie, o co chodzi, oprócz nas nikt przecież nie zna niemieckiego. Nauczycielka od rosyjskiego sztywnieje, kiedy troje niemieckich dzieci z ostatniej ławki nagle zaczyna głośno śpiewać o zajączku śpiącym w rowie. Ale ona też nie zna niemieckiego, rozpoznaje tylko jakiś niemiecki bełkot. Wydaje ciągły, przeraźliwy, histeryczny krzyk i z obłędem w oczach wybiega z klasy.

– Hitlerowcy! Milicja! – słychać jeszcze na korytarzu. Chwilę później w klasie odegrały się sceny, których nie da się zapomnieć. Zbiegła się cała szkoła, a kierownik i nauczyciele, gdyby mogli, to by nas zlinczowali. Kiedy milicja wyprowadza nas ze szkoły, kątem oka widzę w oknie Sidiego, jak się uśmiecha. Najpierw zabierają nas na posterunek, ale Martę od razu zwalniają do domu. Zostajemy tylko ja i Igor. Uważają nas za szpiegów i zaczynają się przesłuchania w Urzędzie Bezpieczeństwa. Potem zawożą nas do Wałbrzycha do aresztu dla nieletnich. Niespodziewanie zostaliśmy przestępcami i siedzimy w śmierdzącej, zapchanej do ostatniej pryczy zbiorowej celi.

– Niemiaszki? A was za co złapali? – dopytują chłopaki w celi, a my nie wiemy co na to odpowiedzieć. Pytają więc strażników, a oni mówią, że jesteśmy niemieckimi szpiegami. To był przełom, bo od tej chwili okazują nam wielki respekt, częstują papierosami, a my od razu zadzieramy nosa. Wypuszczają nas już po tygodniu, tak samo nagle, jak tu przyszliśmy i chyba tylko dlatego, że ten areszt jest kompletnie przepełniony i nie ma dla nas miejsca. Przywożą nasz powrotem do Polanicy, ale do szkoły nie możemy już wrócić.

Po tej aferze na dalsze wygłupy straciliśmy zupełnie ochotę, jesteśmy załamani. Nikt nie wie, co z nami zrobić, więc po południu zabijamy czas w kinie, albo na cmentarzu naszego Ramshorna, a przed południem czytamy książki z biblioteki po tym lekarzu. To jest nasz ratunek. Książki mają piękne ilustracje i złoczone okładki, ale to nie wystarcza żeby przeżyły. Dostały wyrok za to, że są napisane nieznanym pismem, w języku, którego nikt tu nie rozumie. A my jesteśmy ich

ostatnimi czytelnikami, ostatnimi, którzy przed ich śmiercią wezmą je do ręki. Zaczynają się mrozy, więc zostały skazane na spalenie. Leżą stosami przy ścianie, zaraz obok pieca centralnego ogrzewania i czekają. Tej zimy całe Altheide będzie opalane książkami. Marta odwiedza nas codziennie, żeby przerabiać materiał szkolny. Kiedy ślęczymy w jej zeszytach, z nudów szpera w stosach kartonów i kiedy je odsuwa, odkrywa pianino. Nad klawiaturą jest złota tabliczka „Franz Liehr –Liegnitz N/S” – to nie jest tak daleko stąd, N/S to przecież jest Niederschlesien, Dolny Śląsk. Znalazła zaraz jakieś nuty i zaczęła ćwiczyć. Lepiej wychodziły jej jednak wolne kawałki, przy szybkich się gubiła. „*Ade zur guten Nacht*” – śpiewa pierwszą zwrotkę – „*Jetzt wird der Schluss gemacht, dass ich muss scheiden...*”, ale dalej nie pamiętam, – mówi, – zapomniałam, a to takie piękne!

Czas upływał, a Władkę dalej wzywają na przesłuchania. Któregoś dnia przychodzi zapłakana i mówi, że będziemy musieli zwolnić nasze mieszkanie. Cały wieczór siedzimy razem w kuchni, a Władka płacze. To wszystko przeze mnie, przez naszą głupotę. Następnego dnia wcześniej rano do drzwi dzwonią dwie młode kobiety i pokazują jakiś papier. To są te nowe, którym musimy oddać nasze mieszkanie, ale Władka nie poddaje się tak szybko i udaje jej się uprosić, żeby nas nie wyrzucały na ulicę, na mróz. Będziemy mieszkać w suterenie, a ona będzie im za to sprzątać. W górach spadł już pierwszy śnieg, a my przenosimy się teraz na dół, do piwnicy, ale najważniejsze jest, że mamy ciepło. Nasze mieszkanie u góry zamienia się teraz w klub nocny. W domu zaczęło się życie rozrywkowe i drzwi się nie zamykają. Do tych dwóch kobiet przychodzi mnóstwo jakichś facetów, nie wiadomo skąd się nagle ich tylu wzięło.

–To sami tajniacy z UB – mówi Władka.

Widziała ich już wcześniej na milicji, kiedy ją przesłuchiwali. Ale któregoś dnia czeka nas kolejna niespodzianka. W mieszkaniu na piętrze nagle zapanowała

kompletna cisza. Imprezy ustały, drzwi są zamknięte i nie widać żadnego ruchu. Morderstwa są teraz na porządku dziennym, więc z duszą na ramieniu idziemy na parter do sąsiada po pomoc. Kiedy jakoś wszedł przez okno, byliśmy przygotowani na najgorsze, lecz mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo, jak je opuściliśmy. Kobiety zniknęły tak szybko, jak przyjechały, wyjechały gdzieś w nieznane, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Wracamy więc z powrotem na górę, jednak po nocach długo jeszcze nadsluchiwalismy, czy nie wracają. Nikt więcej się jednak nie pojawił. Władka ściągnęła teraz z Cimuszowej swoją siostrę Wandę, bo w Altheide zrobiło się jak na dzikim zachodzie. Na ulicach grasowały całe grupy szabrowników i zwykłych bandytów. Wanda na zmianę z sąsiadem z parteru w nocy pilnowali domu. Siostry były do siebie bardzo podobne i umiały gospodarować. Ta ich Cimuszowa to była dobra szkoła. Nasz dom błyszczy znowu jak dawniej i stał się jak forteca, nie do zdobycia. W trójkę czujemy się teraz bezpiecznie. Ale my dalej nie chodzimy do szkoły, włączymy się z Igorem po ulicach i zabijamy czas, a kiedy leje, siedzimy u mnie w domu. I tak wpadło mi do głowy, że w domu musi być przecież jeszcze strych. Nigdy nie wchodziłem na poddasze, bo żeby się tam dostać, trzeba było przystawić drabinę, ale żadnej nie było. Przynieśliśmy z Igorem jakieś skrzynki z ogrodu i się tam jakoś wdrapaliśmy. Potem trzeba było jeszcze otworzyć małe masywne drzwi, a kiedy to się udało, zobaczyliśmy tylko zupełną ciemność, czarną dziurę. Nie było światła, a okna były czymś zastawione. Daliśmy więc spokój. Walter zapada jakby w letarg, przesiaduje w kuchni i milcząco przygląda się, jak Wanda gotuje, a ona w przeciwieństwie do Władki lubi mówić. I tak dowiaduję się historii ich rodziny. Wanda opowiada o wojnie i Cimuszowej. Niewiele z niej zostało, czego nie spalili Niemcy, to zniszczyli Rosjanie. Z jej rodziny nikt więcej nie przeżył.

– Zobacz, wyszło słońce, a my już dawno nie odwiedzaliśmy Ramshorna – mówi Igor. – Może przyjdzie też Marta, a za nią pewnie też Sidi. Nie odstępuję jej przecież na krok.

– Nie cierpię tego kacapa – mówię.

Walter i Igor już siedzą oparci o ścianę grobowca i łapią na twarz resztki skąpego słońca. Mija południe, o tej porze kończą się lekcje, Marta powinna zaraz tu być. W końcu ją widzą. Już z daleka uśmiecha się, a oni pytają o nowości.

– Tę nauczycielkę od rosyjskiego przenieśli dziś do innej szkoły, do Glatz – mówi szczęśliwa, – mamy mieć teraz więcej polskiego, bo ci nowi nie chcą się uczyć i dalej gadają tylko po jakiemuś tam. Przywieźli nam nowe podręczniki, ale oni nie potrafią tego czytać! To jest katastrofa. Ojciec mówi, że ma się zacząć nowa wojna. Podobno nawet coś się tam w górach dzieje. Rozmawiamy teraz o Sidim i Marta mówi, że przez cały czas jak siedzieliśmy w areszcie w Wałbrzychu, to się do niej mocno dostawiał i brał na wycieczki. Jeździli z jego ojcem i milicjantami po okolicznych wioskach.

– Ten pomysł z tą piosenką pewnie wymyślił, żeby się nas pozbyć, a my daliśmy się na to nabrać, mówię.

– Chciał mieć u ciebie szansę – mówi Igor do Marty – bo, że cię wtedy od razu zwolnili, to nie był przypadek, musiał to wcześniej załatwić ze swoim ojcem.

– Ten Arschforscher, Ogerlurch, Frauenversteher! – Marta przeklina na cały głos, jest wściekła, że tego nie skojarzyła.

– Cicho, bo idzie – mówi Igor.

Widać go, jest już niedaleko w alei cmentarnej. Chwilę później Sidi jest już przy nas i uśmiecha się szeroko.

– O, widzę, że już was wypuścili z kicia, to trzeba uczcić, a wy tu jak na pogrzebie.

– Jesteśmy w końcu na cmentarzu, więc wszystko pasuje, mówię.

– No i jak tam było? pyta Sidi.

- Pięknie, tylko krótko – odpowiadamy zgodnie– poznaliśmy tam dużo chłopaków i oni mieli nam dużo do opowiedzenia, takie znajomości na pewno się teraz przydadzą.
- Żeby ci skuć twoją *Fresse*, Igor nie wytrzyma.
- I dużo z nich zna nawet przypadkiem twojego ojca. To ten pułkownik Weinsztejn, no nie? Nie sądzę, żeby tu długo pożył, bo wszyscy mają na niego oko. Zrobią mu grobowiec tu, zaraz obok, pokazuje na grobowiec Ramshorna. Będzie pasowało, – mówi ironicznie Walter.
- A co macie do mojego ojca? Że robi tu porządek? – warknął już niepewnie Sidi.
- Może bardziej do ciebie. Dobrze sobie to wymyśliłeś.
- Żeby się nas pozbyć i się dowalać do Marty? Jeszcze ci mało?– krzyczę.
- A co? Nie podoba się? Nie pasuje, bo wróciła tu Polska? Te szwaby zrobiły się bezczelne – krzyczy Sidi histerycznie.
- A co to ma z nami wspólnego? Co masz do nas? – krzyczymy na zmianę,
- My szwaby, a wy kacapy! Bo co? Polacy chyba nie! Ruskie przebierańce! Nawet nie umiecie czytać po polsku! Kto w klasie zna polski? Nikt! I to mają być Polacy? Czego wy tu szukacie? Jak tu wrócimy, to bilet powrotny do ruskich masz pewny, miejsce leżące, w pierwszej klasie!
- Na Syberię! Z wami wszystkimi! Mój ojciec wam to załatwi! – krzyczy Sidi na cały głos – Jak ja was nienawidzę!
- A ja ruskich Żydów! – krzyczy Marta – w szkole bez przerwy nam o was gadali i mieli rację, *Dreckie Juden!* A to, co to jest? – pokazuje na grobowiec Ranshorna, – kto go zabił, jak nie wy? Komuniści! !
- Taaak? Twój ojciec lepiej wie, kto!– krzyczy do Marty, – nie wiem, dlaczego was wypuścili, ojciec mi mówił, że będziecie tam gnić do końca życia. Albo zrobimy jak z twoimi starymi, krzyczy teraz do Waltera. Kula w łeb i po wszystkim ! – Sidi wrzeszczy już bez żadnych hamulców.
- Coo...? Ty coś wiesz !

Walter rzuca się na niego ślepy z wściekłości, ale nie ma szansy. Sidi przerasta go o głowę. Wtedy Igor rzuca się na pomoc, bo widzi jak Sidi wyciąga z kieszeni swój mały pistolet. Marta krzyczy!

– Walter, uważaj on ma broń! Uważaaaaj! – krzyczy i w szarpaninie pada strzał. Sidi strzelił, dwa strzały, odskakujemy przerażeni, a Marta łapie się za rękę, krew zalewa jej bluzę. Stoi blada jak papier i wszyscy zastygamy w przerażeniu. Stoimy jak skamieniali i nie wiemy co dalej, ale Sidi zachowuje zimną krew. Nikt by nie przypuszczał, że może mieć tyle siły. Przerzuca Martę przez ramię jak piórko i biegnie ile sił przez ulicę, do szpitala.

Zaczęły się śniegi, a my mamy teraz nowe zajęcie. Zamiast u mnie, całymi dniami siedzimy w szpitalu, przy jej łóżku. Rana nie jest poważna i Marta niedługo wyjdzie do domu. W szpitalu chodzimy po korytarzach i nikt nas tu nie zatrzymuje, kiedy zaglądamy na sale szpitalne. Wszystkie są gęsto zastawione łózkami, łóżko przy łóżku. Nie przypuszczaliśmy, że może tam leżeć aż tylu chorych. Nie mogą chodzić, więc nikt ich nie widzi. Władka opowiada, że są to inwalidzi wojenni i leżą na rehabilitacji.

Marta ma być dzisiaj wypisana do domu i z Igorem przychodzimy wcześniej, żeby ją odprowadzić. Kiedy wchodzimy na jej salę stajemy zaskoczeni, jej łóżko stoi puste a po Marcie ani śladu. Pytamy pielęgniarek i w końcu jedna z nich mówi, że w nocy przyszedł jej ojciec i zabrał do domu. Już po kilku minutach chłopcy stoją zadyszani przed jej domem, ale drzwi są zamknięte. Nikt nie otwiera, więc nie wiedzą co robić, stoją i czekają. Po długiej chwili na parterze otwierają się drzwi i wychodzi do nich sąsiadka.

– Chodzi wam o tych Niemców z dołu? Ich już nie ma. Przyjechał po nich w nocy jakiś samochód i zabrali.

Potem jeszcze pyta, który to z nas jest Walter, wraca na chwilę do mieszkania i przynosi mi list od Marty. Odchodzę na bok i kiedy otwieram kopertę widzę, że trzęsą mi się ręce. Marta pisze krótko:

*„Walter Liebster! Tu jest dalszy ciąg tej piosenki, którą wtedy zapomniałam:
...es trauern Berg und Tal, wo ich vieltausendmal bin drüber gegangen.
Im Sommer wächst der Klee, im Winter schneit's den Schnee, da komm ich
wieder.*

Twoja Marta.”

I znowu poczułem ten sam strach, jak wtedy, kiedy straciłem rodziców, czułem ścisk w gardle i nagle bez słowa i bez sensu zacząłem biec, przed siebie, a Igor biegł za mną. Zatrzymaliśmy się dopiero koło Domu Zdrojowego Numer Jeden, gdzie pracowała Władka. Musiałem ją natychmiast zobaczyć, byłem chyba w szoku i nie mogłem czekać, aż wróci do domu po pracy. Igor czekał na mnie w poczekalni, a ja chodziłem po tych łazienkach, między miedzianymi wannami z tą błotnistą mazią parującą na cały korytarz i jej szukałem. Kiedy ją znalazłem, przytuliła mnie i długo tak staliśmy.

Rano przychodzi do naszego domu dwóch milicjantów w cywilu i uśmiechnięci komunikują, że decyzją komendanta dostaliśmy szansę na poprawę. Nie musimy się już z Igorem meldować na posterunku, tylko mamy wrócić do szkoły i uczyć się dla dobra Ludowej Ojczyzny. Odetchnąłem, ale musiałem ich jeszcze zapytać o Sidiego i o to, dlaczego chciał nas zabić, bo były dwa strzały.

Uśmiechają się wyrozumiale.

– Naszego pułkownika już nie ma, dostał awans do Wrocławia i wyjechał.

Nawet nie miał czasu się z nami pożegnać.

Marty i Sidiego nie ma! Zostaliśmy teraz sami z Igorem i wtedy coś we mnie jakby pękło. Wpadłem do pustej, czarnej dziury, która była gdzieś tam u mnie w głowie i z którą się tak męczyłem. A potem po latach okazała się ona tą czarną skrzynką, którą ma każdy człowiek i gdzie każdy szczegół z jego życia jest dokładnie zapisany. Dziś wystarczyło mi ją tylko otworzyć i dlatego tylko dzięki niej, teraz po tylu latach, mogę tę historię dokładnie opowiedzieć – o tych paru krótkich powojennych miesiącach w Polanicy, o nas, niewinnych i

przedwcześnie dojrzałych dzieciakach, których los przypadkowo połączył w tej dolinie; o naszej bezradności i przyjaźni tak intensywnej i bliskiej, jaka była możliwa tylko wtedy i już nigdy później.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, kiedy Igor nagle mówi, żeby pójść na cmentarz i postawić świece na grobie brata Marty.

– Na cmentarzu jest już kilka polskich grobów i na nich zawsze palą się świece – mówi, niech widzą, że nie jesteśmy gorsi. Przy okazji można by zobaczyć co nowego u naszego Ramshorna.

Już z daleka, od bramy, widzimy, że coś jest inaczej. Grobowiec, cała kaplica leży w gruzach i wygląda, jakby ktoś próbował ją wysadzić w powietrze.

Obchodzimy od tyłu pozostałą ścianę i nagle zastygamy w przerażeniu

– tuż przed nami siedzi on, sam Ramshorn! – oparty o ścianę własnego grobu, patrzy na nas pustymi oczodołami. Na szkielecie widać jeszcze jakieś zbutwiałe resztki munduru i opaskę ze swastyką. W pierwszej chwili ze strachu chcemy uciekać, ale spoglądamy na siebie i równocześnie spluwamy w jego kierunku, a Igor szybko wymawia zaklęcie:

A, B, C, D – die Gruft ist auf

Das Monster kriecht raus

Die Knochen schnell in Sack,

bevor sie dich packt!

Od tego czasu nasza przyjaźń z Igorem zaczęła się jakby rozluźniać i nie przychodził już do mnie tak często. Po lekcjach nie wychodziłem prawie z domu, bo zacząłem się teraz interesować innym światem. Na strychu zamontowałem światło i odkryłem, że doktor Schlegel miał tam schowane swoje małe obserwatorium astronomiczne – małe otwierane okienko w dachu, a przed nim na statywie można było ustawić lunetę.

Leżała tam przykryta jakąś szmatą, w pięknym drewnianym kufrze jakby na mnie czekała, –piękna „Zeiss Victory”. Wystarczyło ją tylko postawić na

statywie

i wtedy mogła mi pokazać, że kosmos można zobaczyć z bliska na własne oczy. Zima trwała już na dobre, a z nią długie wieczory. Często wyłączali prąd i wtedy szedłem na strych, siadałem przed nią i przenosiliśmy się razem w kosmos. Nie była to długa droga, gwiazdy wydają się w górach zawsze tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Ze strychu było widać całe miasteczko i moja piękna *Zeiss Victory* kierowała się w stronę okien i szukała tam Marty, ale widziała tylko oświetlone choinki. Zaczynają się święta Bożego Narodzenia, zbliża się Nowy Rok. Patrząc teraz na wieżę kościoła i ludzi idących przez zaśnieżone uliczki na pasterkę. Jest północ i dobiega mnie śpiew kolęd. Tych samych, które kiedyś razem śpiewaliśmy z rodzicami, ale słowa były teraz inne. Słyszałem *Stille Nacht* po polsku, kolędę, którą ci wygnańcy ze wschodu śpiewali dokładnie tak samo jak my - Niemcy, w tym samym miejscu i tylko o rok wcześniej.

Na tej chwili zatrzymała się moja pamięć. Już nie chcę iść dalej do tyłu i pamiętać tego co było później, kiedy wyjechała Marta. A przecież ten czas gdzieś jest i jest zapisany, pewnie tylko się ukrył gdzieś głęboko, w podświadomości, w tej drugiej półkuli, albo gdzieś tam, w niedostępnych górach na horyzoncie, pod Śnieżnikiem. Ale tam nie sięgam. Nie do wszystkiego mam dostęp i jest jeszcze za wcześnie by o tym mówić, bo wszystko ma swój czas. Jestem jednak spokojny, bo wiem, że pamięć tego miejsca jest gdzieś na pewno dokładnie zapisana i myślę, że kiedyś ten zapis połączy się z tym nowym, z tym co się tu niedługo zdarzy, kiedy przyjdą tu następni uchodźcy ze wschodu. Ale mnie już tu nie będzie.

To już jutro Igor Burek, a właściwie Raphael Baumann, będzie miał swój wernisaż i spotkanie autorskie z mieszkańcami Polanicy, swoimi przyszłymi czytelnikami. Zrobiło się późno, a my z Igorem dalej siedzimy w „Zdrojowej” przy kolacji i rozmawiamy.

– Pamiętasz tę niemowę, tę kobietę, która mieszkała u was na parterze? – pyta Igor.

– Jakbym nie miał jej pamiętać? Pewnie już dawno zmarła.

– No tak, ale jej mąż dopiero nie tak dawno. Nie mówiłem ci tego, że spotkałem go kiedyś na ulicy i dość długo rozmawialiśmy. Po jej śmierci był załamany. Ale wiesz, co mi powiedział?

– No?

–... że ona była Niemką, że po wojnie wyciągnął ją z jakiegoś obozu i wzięli ślub. W domu wcale nie była niemową, tylko całe życie udawała żeby się nie wydało, że jest Niemką, żeby jej Polacy nie poznali po akcencie. Bała się ich całe życie.

– Wiesz, czasem mi się wydawało, że słyszę przez ściany jak rozmawiają, – mówi Walter, – ale przy okazji też chcę ci coś powiedzieć.

– Zastanawiałem się tak ostatnio i pomyślałem sobie, żeby ci zrobić niespodziankę. To moje mieszkanie nie może tak dalej stać puste, tobie się bardziej przyda. Ja już tu tak szybko nie przyjadę, ta historia się już dla mnie skończyła. Pójdziemy do notariusza i przepiszę je na ciebie, wprowadzisz się tam i na starość będziesz miał swój kąt gdzie będziesz mógł pisać i nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Igor patrzy na Waltera i słucha, kiedy ten mówi dalej.

– Tak naprawdę to ten dom ani do mnie ani do Władki nigdy nie należał. Ani nawet do tego doktora Schlegela. Ta historia powinna cię zainteresować. Zatrudniłem kogoś żeby to zbadał, a sam kiedyś pojechałem do archiwum w Kłodzku. Tam jakimś cudem zachowało się jeszcze dużo starych dokumentów, no i coś znalazłem. Ten doktor Schlegel, w którego domu mieszkaliśmy Władką, otóż on, przeprowadził się z rodziną do Altheide w 1934 i to od razu pod ten adres. Ale w książce adresowej widnieje tam praktyka innego lekarza, żydowskiego, który się nazywał Baumann, więc jego już tam nie mogło być. Więc co się z nim stało?

Nazwisko tej żydowskiej rodziny znalazłem na liście deportowanych do Lublina i tam się ślad urywa. Ale oni mieli jeszcze dziecko, którego jednak nie ma na liście transportowej. A ty byłeś w sierocińcu w klasztorze i jest dokument zakonu, przetrwał bo się znalazł w ich archiwum w Niemczech, że na osobiste polecenie Ramshorna, siostry przejęły wtedy kilkoro dzieci żydowskich. Więc wygląda, że ty byłeś między nimi. Siostry przyjęły cię we wrześniu, więc wtedy już twoich rodziców w Polanicy nie mogło być bo Schlegel wprowadził się od razu. Ale Schlegel nie miał możliwości decyzyjnych do deportacji twojego ojca, tylko SA, a to był Ramshorn. On z kolei był krewnym Schlegela. Ramsorn był za wysoko i osobiście nie zajmował się wykonywaniem swoich rozkazów. Teraz pojawia się ojciec Marty, Zeiger, on był wtedy w SA więc musiał mieć z tym coś wspólnego, bo to jest mała miejscowość. W 1934 była noc „Długich Noży” i Ramshorna zastrzelili, ale Zeiger przeżył bo był nisko w hierarchii i wycofał się do drugiej linii. Ale dlaczego w 1945 nie uciekł razem ze Schlegelem? Oboje mieli takie same możliwości wyjazdu, oboje kierownicze stanowiska w szpitalu. Biorąc pod uwagę, że w domu zdrojowym było wielu rannych, to właściwie bardziej Schlegel jako lekarz powinien zostać. Zeiger musiał mieć więc jeszcze jakieś zadanie. Bo był później w Gestapo. To się udało ustalić. Tylko nie przypuszczał, że Rosjanie odetną mu tak szybko drogę ucieczki. Zwykły mechanik nie mieszka w luksusowej willi przy parku, bo dopiero później przenieśli go do suterenu. Bardzo się tym interesował ten pułkownik – ojciec Sidiego. Ale bez sukcesu, bo Sidi się kochał w Marcie i pewnie coś chlapnął jej o swoim ojcu, po co tu jest tak naprawdę. No i byli ostrożni. Zwróciłeś uwagę, że ojca Marty nikt nie widział? On się nikomu nie pokazywał, bo może mógłby go ktoś rozpoznać! Cały czas był zamknięty przy tych maszynach i dlatego szpital pracował bez problemów. Ale Sidi przegiął i mu odbiło kiedy Marta go odrzuciła, więc pułkownika odwołali do Wrocławia bo UB musiało poprawić swój wizerunek u tych nowych polskich osiedleńców. Marta z ojcem wykorzystali ten moment i przeszli przez góry do strefy amerykańskiej, pewnie

mieli jakąś pomoc. Myślę że od tych cyganów, bo Marta miała z nimi doskonałe układy, a oni znali te góry jak własną kieszeń. Wszystko by się zgadzało. To by znaczyło, że ten dom mógł należeć do twojego ojca...

Igor siedzi jak skamieniały, jest wstrząśnięty, nic nie mówi. Pytam go jeszcze raz o Martę, żeby zmienić temat.

– Nic nie słyszałem, przepadła, – mówi – i nikt o niej więcej nie słyszał.

Jeżeli wyszła za męża, to pewnie zmieniła nazwisko i trudno będzie ją odszukać. Zrobiło się już późno i po drodze do domu zatrzymaliśmy się jeszcze na mostku, koło nowej promenady. Jakąś chwilę patrzymy na góry.

– To chyba prawda, co mówiły nam wtedy siostry zakonne, że to się tak nie skończy od kiedy tych żydów wywieźli stąd na śmierć. Pewnie rzucili przekleństwo i ono tu wisi nad tą całą kotliną, do dzisiaj. Cały czas przechodzi z jednego na drugiego, bez względu, czy miał coś na sumieniu, czy nie.

Bo takiej tragedii tu od wieków nie było. Nigdy i nikt nikogo tu nie wyrzucał z jego własnego domu, zabijał, niszczył ślady, zaorał groby, narzucił język, zmieniał nazwiska. I dlatego teraz tu tak wygląda. Kotlina pustoszeje, ludzie wyjeżdżają, bo nie są szczęśliwi. A ci, którzy jeszcze zostali, milczą i czekają aż wszyscy zapomną o tym co się tu stało – mówi Igor.

– Ale tego się nie da zapomnieć, to zło wisi w powietrzu i się gdzieś w pęta po tych górach – mówi Walter.

– Już pora żeby to przerwać, mówi Igor. To przekleństwo przestanie działać tylko wtedy, kiedy się przerwie milczenie i ten strach. A to mogę zrobić tylko ja, bo jestem tu ostatnim Niemcem, ostatnim świadkiem, a teraz już chyba nawet i Żydem. Jutro to zrobię, inaczej tu wszystko opustoszeje i nie wróci do życia.

– Chyba czas się zbierać do domu – mówię, - ale popatrzę jeszcze chwilę na rzekę. W głowie mi huczy po tym winie.

Kiedy Igor poszedł, zostaję jeszcze chwilę na moście, bo nie mogę przestać myśleć o Marcie. Po tylu latach nagle zacząłem za nią bardzo tęsknić, dużo bym

dał, żeby teraz tu przy mnie była. Opieram się o balustradę i patrzę w dół. Podemną huczy Bystrzyca. I nagle w tej rwącej, czarnej wodzie...nagle widzę ją wyraźnie. Tę bestię, o której kiedyś mówił Igor. Wyłania się na chwilę, a kiedy się nadyma, słyszę jej chichot. I od razu przypominam sobie zaklęcie: „*Neck, Neck, Strudelgeist, du bist im Wasser, ich bin am Land*”. Wtedy zamiera, a ja syczę przez zęby– widziałem cię, a to oznacza twój koniec, koniec twoich rządów. Jak stąd nie znikniesz, to Igor zrobi z tobą porządek, szepczę. Ale przedtem masz mi tu jeszcze sprowadzić Martę. To rozkaz. Neck wyłonił się jeszcze na chwilę z wody i spojrzał na mnie tymi okrągłymi ślepiami tak, że zrobiło mi się ciemno przed oczami, trzasnął płaskim ogonem w wodę i zniknął. Jest pełnia i wydaje mi się, że przez chmury pokazał mi się na chwilę mój *Glatzer Schneeberg*, Wielki Śnieżnik, a wtedy z tyłu usłyszałem wyraźnie jakiś szept – i odwróciłem się.

KONIEC

